

KAZIMIERZ SMOLEŃ

Trzeci dzień rozprawy, 14 marca 1947 r.

Posiedzenie po przerwie.

Obecni jak w pierwszym dniu rozprawy.

Przewodniczący: Wznawiam posiedzenie Najwyższego Trybunału Narodowego. Proszę wezwać świadka Smolenia.

Świadek podał co do swej osoby:

Kazimierz Smoleń, wyznanie rzymskokatolickie, żonaty, urzędnik [Powszechnej Spółdzielni Spożywców] „Społem”, w stosunku do stron obcy.

Przewodniczący: Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

Prokurator Siewierski: Zwalniamy świadka z przysięgi.

Adwokat Umbreit: Zwalniamy świadka z przysięgi.

Przewodniczący: Za zgodą stron Trybunał postanowił przesłuchać świadka bez przysięgi. Uprzedzam świadka o obowiązku mówienia prawdy [i] o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznania.

Proszę powiedzieć, w jakich okolicznościach świadek dostał się do Oświęcimia [i] jakiego rodzaju były jego przeżycia.

Świadek: Do Oświęcimia przyjechałem 28 stycznia 1943 r. o godz. 8.00 wieczorem. Po opróżnieniu wagonów wyszliśmy i od razu spotkałem się z całym transportem, który liczył 2 tys. osób, z tego 1400 mężczyzn i 600 kobiet z więzienia tarnowskiego. Na dworcu wagony były obstawione SS-manami, którzy z krzykiem „Aussteigen!” wzywali do szybkiego wysiadania, bijąc pałkami. Liczyliśmy, że samochody, które stały obok nas, przewiozą nas do obozów, jednak – jak się później okazało – były one przeznaczone na wywóz Żydów do krematorium. Nas ustawiono w piątki i pognano 3 km do obozu w Brzezince wśród

szpalerów żandarmów, przy ustawicznym biciu, kopaniu i znęcaniu się nad nami. Zaznaczam, że na drodze był lód, ponieważ była to zima, i kto się przewrócił, a biegliśmy szybko, został natychmiast pobity i skopany, tak że po drodze do obozu kilkunastu zostało zabitych.

Po przekroczeniu czerwonej bramy w Brzezince spotkaliśmy się z więźniami w pasiakach stojącymi przed barakami, ponieważ była to pora poapelowa. Wszyscy pytali, skąd przyszedł transport, ciekawi może, czy nie z rodzinnych stron. Odstawiono nas do baraku 22., „zugangowego”. [Wewnątrz] umieszczono nas 500 po jednej stronie [tego] baraku, środek przegradzał przewód piecowy, a po drugiej stronie spisywano uprzednio przybyłych Żydów z Wołkowyska. Tam bez wody, spragnieni, siedzieliśmy do rana, przy czym nasi koledzy, starsi więźniowie, przynieśli nam „zorganizowaną” kawę. Zresztą [i] tak mogli się napić tylko ci, którzy byli bardzo wyczerpani, po dwa–trzy łyki. Rano w baraku tym zmarło dwóch kolegów na skutek wyczerpania.

Obudzono nas o 4.00 rano i staliśmy do godz. 7.00, aż się rozwidniło i nastąpił apel poranny. Po apelu zwróciłem uwagę na rzecz, która wywarła na mnie niesamowite wrażenie, mianowicie na wielką liczbę trupów pod każdym barakiem, obliczyć ich można było po kilkanaście. Następnie na rolwagach i sankach trupy te przewożono do *Leichenhalle*, tak mówili starzy więźniowie. Obok stał dom z kamienia. Spytałem kolegę, co to jest. Roześmiał się: „To jest krematorium, w którym za kilka tygodni będziemy wszyscy spaleni, i wy też”. Naturalnie z początku nie wierzyłem, bo byłem nowym więźniem.

Cały dzień staliśmy na polu. Wieczorem odtransportowano nas do baraku 20. [Był to] barak typu kamiennego; podzielony na cztery sztuby, po trzy boksy w formie otwartych szaf, gdzie umieszczono nas po kilku w boksie. Ja spałem w dziewięciu w dolnym boksie, tzn. na kamieniu, bez rozbierania się, bez niczego.

O 4.00 rano zbudzono nas i staliśmy cały dzień na polu. Dano nam stawę, która na rano przedstawiała się w postaci 0,5 l kawy z Avo i zupy z pokrzyw. Podwórze, na którym staliśmy, mogło mieć ok. 20 m szerokości i 40 [m] długości, z tym że było na nim na skutek roztopów bajoro i musieliśmy stać w wodzie po kostki. W baraku tym warunki były poniżej krytyki, bez wody, tak że nie myłem się przez trzy tygodnie zupełnie.

Było szereg transportów z Teresina, z Czech, z Łodzi, Wołkowyska, Tarnowa, Krakowa, nie nadążono więc spisywać personaliów. Mnie spisano dopiero po trzech dniach. Dostałem nr 96239.

Po trzech dniach poszliśmy do łaźni. Kąpiel odbywała się pod zimnym prysznicem, bez mydła, bez ręcznika. Na mokre ciało włożyliśmy drelichy, koszule, kalesony i płaszcze więzienne. Kto dostał mały, to miał mały, kto duży – to duży, przeważnie były małe. I biegiem do baraku.

Następnego dnia znowu do łaźni. Tutaj czekaliśmy ok. 2 godz. Przybyło 11 czy 12 SS-manów. Z krzykiem zaczęli nas pędzić w kierunku bramy wyjściowej lagru. Nie wiedzieliśmy, gdzie idziemy. Pędzili nas pod las, gdzie znajdował się biały domek. Obok jakaś szopa. Zupełnie nie zdawaliśmy sobie sprawy, co to jest za domek. Jak się później okazało, to była komora gazowa. Tuż przed nią ustawiono nas w piątki i kazano nam się schwyć pod ręce. Krzyczano po niemiecku. Nie rozumieliśmy, czego chciano. Wielu nie znało języka niemieckiego. Jeden z kolegów, Stanisław Kucharski, profesor gimnazjalny, znający niemiecki, powiedział: „Niech pan pozwoli, przetłumaczę kolegom po polsku, bo nie rozumieją po niemiecku”. Jeden z Niemców powiedział: „Wy, Żydzi, po niemiecku nie rozumiecie?”. Kucharski oświadczył: „Jesteśmy Polakami”. Oni: „Jakże, przecież jesteście Żydzi”. Nastąpiła przerwa w ich działaniu. W tym momencie przyjechał SS-man na motocyklu. Zapytał, co jest. Rozmawiali po cichu, nie słyszeliśmy. Po chwili poprzedni SS-man zapytał, czy kto z nas nie widział grupy Żydów obok *Blockführerstube*. Jeden z kolegów powiedział, że widział klęczących Żydów, 150. Okazało się, że przez pomyłkę nas zabrano pod komorę gazową. Gdyby nie odezwanie Kucharskiego, że nie znamy języka niemieckiego, zagazowaliby nas.

Potem z powrotem nas wzięto do nowo budującego się obozu w lagrze cygańskim, dla sprawdzenia, czy to nie pomyłka. Trzymano nas do 1.30 w nocy. Później odesłano nas do bloku. Naturalnie owi klęczący Żydzi zostali popędzeni do komory i zagazowani.

Na bloku kwarantanny byłem przez dwa tygodnie w warunkach bardzo ciężkich. Dowodem, że z 960 więźniów po 14 dniach znalazło się 560; 400 poniosło śmierć. Pracowałem w komandzie *KG Kanalisation*, przy kopaniu rowów melioracyjnych. Praca była ciężka. Zakładano rury betonowe, kopano rowy na głębokość kilku metrów.

Na skutek złego ubrania i ciężkiej pracy zachorowałem, jak się okazało, na zapalenie płuc. Wycieńczony, zmęczony chorobą przez kilka dni nie byłem w stanie ustać na apelu o własnych siłach. W pierwszych dniach koledzy mnie podtrzymywali. Po dwóch dniach leżałem w błocie z grupą takich samych muzułmanów jak ja, pod barakiem, i tylko SS-man przychodził i liczył, dotykając kijem, byleby się apel zgadzał. Między nami były i trupy, ale i trupy musiały stawać do

apelu. Widząc beznadziejną sytuację, starałem się siłą woli opanować i przezwyciężyć chorobę. Zdawałem sobie sprawę, że jeżeli trafię do szpitala, to trafię do gazu. Choroba była silniejsza od woli. Musiałem się poddać. Zrezygnowałem z życia. Bałem się i błota. Zdecydowałem się pójść do ambulansu. Wszystko jedno: śmierć albo życie. O godz. 7.00 zgłosiłem się do ambulansu, ale znalazłem tam ok. 150 takich samych więźniów wynędzniałych jak ja, którzy czekali w kolejce. Ambulatorium otwarte było do [godz.] 7.30. Dzięki własnemu sprytowi dostałem się do okienka poza kolejką i zapisano mnie. Dostałem się przed lekarza Polaka Zengtellera. Zmierzył temperaturę i powiedział, że na drugi dzień mam się zgłosić do szpitala. W drodze powrotnej wskutek szalonych roztopów i błota w Brzezince – obóz był na chłopskich gruntach, bez żadnych kanałów, rowów odwadniających, dróg, trzeba było tonąć po kostki – zgubiłem but w błocie i przyszedłem boso. Na drugi dzień rano w beznadziejnym stanie leżałem w błocie. *Schreiber* blokowy wywołał mój numer. Odezwałem się. Powiedział, że mam iść do szpitala. Poszedłem, myśląc, że pójdę do gazu. Wtedy przyjęto 35 [więźniów] do szpitala. Była obawa, aby nie dostać się na blok 7., z którego dwa razy na tydzień brano do gazu. Obojętne czy chorych, czy zdrowych. Nie wiadomo jakim cudem, szczęście po prostu, razem z kolegą Adamczewskim, kucharzem, zostaliśmy przydzieleni do baraku 12., z którego do gazu nie brano. W baraku tym była tak niesłychana ilość pcheł i wszy, że ciało było zupełnie czerwone, pogryzione przez robactwo. Ani razu przez cały czas nie dostałem pastylki aspiryny. Chorobę przezwyciężył tylko silny organizm. Po ośmiu dniach stwierdzono, że jestem już zdrow, dano mi jednak zwolnienie (*Schonung*) [z] chodzenia do pracy. Przeniesiono mnie do baraku 8., gdzie byli podobni rekonwalescenci – [ale] po tyfusie plamistym. Przydzielono mnie do takiej sztuby. Wynik wiadomy po 14 dniach.

W międzyczasie jeden z lekarzy Polaków, Jerzy Reichman, zapytał, czy kto zna niemiecki, czy umie pisać, bo potrzeba takiego *Schreibera* blokowego. Zgłosiłem się m.in. i ja. Po stwierdzeniu mojej umiejętności przyjęto mnie, zostałem takim *Schreiberem* w sztubie przy dr. (...). Funkcja moja polegała na tym, że spisywałem przybyłych do baraków chorych i opisywałem ich anamnezę, tj. stan choroby. Nie miałem o tym pojęcia, bo nigdy nie byłem lekarzem. Prócz tego sprzątałem i wnosiłem trupy do trupiarni. Po jakichś dziewięciu dniach pełnienia tej funkcji dostałem wysokiej gorączki. Okazało się, że to tyfus, na tyfus jednak nie wolno było chorować, bo zaraz brano do gazu. Wobec tego lekarz napisał „grypa” jako rozpoznanie chorobowe. Na tę „grypę” leżałem 14 dni, przy tym do załatwiania swoich potrzeb naturalnych musiałem wstawać z pryczy prawie nieprzytomny i iść jakieś 40 kroków

po betonowej posadzce bosą do ustępu. Przewracałem się po drodze, koledzy mi później opowiadali, że mnie dźwigali i wnosili na pryczę, bo sam nie mogłem dać rady. Jeżeli któryś z tak ciężko chorych załatwiał swoje potrzeby w boksie, to przeznaczano go do bloku 7., a stamtąd szedł do gazu. Po takim wyzdrowieniu czułem się na tyle silny, że wstałem – tylko dlatego, iż bałem się stracić moją funkcję pisarza, która zresztą zdecydowała o mojej późniejszej egzystencji życiowej, bo gdybym w tym stanie musiał pójść do pracy fizycznej, to w ciągu paru dni bym się wykończył.

W tym czasie odeszły transporty Polaków do innych obozów w Niemczech, tak że zostało w obozie tylko kilku fachowców i chorych w szpitalu. Funkcje samorządu obozowego przejęli Czesi i Żydzi. Po wyzdrowieniu wychodziłem już na powietrze, na którym widziałem znowu niesamowite zdarzenie, jakie miało miejsce.

Z bloku 7. wywożono dwa razy w tygodniu do gazu. Czasami na podwórzu tym były setki trupów, podwórze było zasłane trupami na wysokość paru metrów, przejść nie można było. Przychodził np. wtorek – wywózka do gazu, miało pójść do gazu, przypuśćmy, tysiąc chorych. Brakowało, przypuśćmy, 40. To brano personel blokowy – bo liczba musiała się zgadzać – względnie uzupełniano chorymi z bloku B. Natomiast gdy nie było liczby wyraźnie określonej, tylko powiedziane było, że mają iść chorzy z bloku 7., wtedy można było uratować kilku chorych, przenosząc ich na inny blok.

W tym czasie przyszły transporty Żydów z Grecji. Widziałem na własne oczy, jak SS-man Schulz na bloku B zastrzyknął fenol ponad 20 Żydom greckim. Chorych tych przeprowadzono z bloku 7. na blok 8. do ambulansu. W ambulansie Schulz kazał rozebrać się delikwentom do pasa i zastrzykiwał im strzykawką fenol do serca, a dwaj więźniowie chwyтали chorego na ręce i wynosili do przybudówki tuż za ambulansem. Po dokonaniu zastrzyku całej tej grupie, karetka pogotowia zabrała ich przypuszczalnie do krematorium.

Na bloku 8. było w tym czasie ok. 300 chorych – bardzo ciężko chorych, przeważnie na tyfus i *Durchfall*. Na jednej pryczy leżało po sześciu, siedmiu, a nawet ośmiu [więźniów], w zależności od nasilenia liczby chorych. Nie dostawali lekarstw, byli zdani na siły własnego organizmu. Śmiertelność w baraku 8. wynosiła w tym czasie 20–40 ludzi dziennie, na bloku 7. natomiast ponad 200, a pamiętam jeden dzień, gdy wyniesiono z tego bloku 320 trupów na stan ok. 800 chorych.

Robactwo i wszy były tak straszne, że zupełnie nie można się było przed tym uchronić ani obronić. Żadnej akcji ze strony komendantury obozu nie prowadzono, żeby zmniejszyć ilość wszy, a tym samym liczbę [chorych na] tyfus plamisty. Radykalnym środkiem na niszczenie tyfusu było wywożenie chorych na tę chorobę do gazu. Uważam, że w tym wypadku była to tylko wina komendantury obozu, która nie dbała o higienę i nadzór nad więźniami.

W tym czasie *Rapportführerem* na terenie obozu był niejaki Schillinger, najgorsza kreatura, jaka znajdowała się w obozie. Znęcał się nad więźniami, używając w dodatku najbardziej wyrafinowanych sposobów. Toteż gdy Schillinger ukazywał się na terenie obozu, wszyscy uciekali do baraków i kryli się, gdzie kto mógł. Nie dość na tym, że bił – jadąc na rowerze, jedną ręką prowadził go, a w drugiej trzymał rewolwer i strzelał dookoła. A największym przestępstwem w jego oczach było, gdy ktoś spojrzał w kierunku obozu kobiecego. Byli tacy, którzy tam mieli żony, matki czy córki. Jeśli złapał na tym kogoś, to zabijał na miejscu, uważając to za największe przestępstwo.

W lipcu 1943 r. z tych steinbaraków przeniesiono nasz obóz do nowo zbudowanego odcinka drugiego obozu. Przybyłem wraz ze szpitalem na tzw. odcinek B II f, który znajdował się tuż koło krematoriów I, II, III i IV. Przez cały czas byłem naocznym świadkiem prowadzenia ludzi do komór gazowych. Widzieliśmy też przez okienka wieczorem, gdy krematorium było oświetlone, jak rozstrzeliwano więźniów w krematorium bolcem, który przykładano do tyłu głowy i więzień padał zabity. Słychać było nawet lekki trzask z daleka. W krematoriach paliło się dzień i noc, ustawicznie, a największe nasilenie niszczenia więźniów i transportów przychodzących było w 1940 r., w czerwcu i lipcu. Jak myśmy obliczali, to w ciągu niespełna czterech tygodni zagazowano ok. 400 tys. Żydów węgierskich.

Transporty podchodziły pod samo krematorium na bocznicy kolejowej. Po wyjściu z wagonów Żydzi szli do krematorium. W tym też czasie na skutek strasznego nasilenia gazowania krematorium nie nadążało palić, nie nadążano również gazować wszystkich, wobec tego gazowano też w tym białym domku za krematorium, który nie wiem, czy ocalał do dziś, i palono na stosach w odległości jakichś 300 m od nas. Swąd tych ciał, dym z palonych więźniów tak się rozchodził po obozie, że na 50 m jeden drugiego nie mógł zobaczyć, był niesamowity smród. Nie dość na tym – ja osobiście widzieć tego nie mogłem, ale wieczorami najczęściej słychać było szczekanie psów i płacz dzieci przy ogniskach. Myśmy przypuszczali i koledzy, którzy byli w „Kanadzie”, mówili, że dzieci prowadzono

żywcem na stosy, psy je naganiały i dlatego szczekały. Naprawdę tak musiało być, bo płacz dzieci było najwyraźniej słychać oraz krzyki SS-manów, szczekanie psów. To palenie poza krematoriami I, II, III i IV trwało jakieś dwa tygodnie.

Przypominam sobie lipiec 1943 r., poszedłem ze szpitala na *Entläusung* (...) na odcinku B IId, gdzie były komanda robocze. Zajechała piękna limuzyna Hößa i w otoczeniu świty stał on jak Bóg nad swoimi podwładnymi, a ci podwładni, chcąc się swemu szefowi przypodobać, wyrabiali niesłychane historie. Czym który mógł, bił i widocznie szefowi to się podobało, bo z zadowoleniem, jak z daleka obserwowałem, patrzył i nie reagował.

Pamiętam następnie, jak niszczone obóz cygański. Byłem świadkiem, obserwowałem prawie do 2.00 w nocy z baraku, z odległości zaledwie kilku metrów, jak SS-mani przez całą noc dzieci cygańskie zabierali na samochody i wywozili do komina, do krematorium do zagazowania. Dzieci te krzyczały, broniły się, uciekały, a oni nie wsadzali ich na wóz, a wrzucali jak kłody te małeńkie dzieci. Krzyki były całą noc, płacz był niesamowity, strzelanie na terenie obozu cygańskiego. Rano, gdy wstaliśmy, obóz był pusty, a na początku, kiedy Cyganie przybyli, mieli numery do 18000. Część zdrowszych Cyganów wywieziono na roboty do Niemiec, a starszych i dzieci zagazowano w komorach.

Ponadto jako pielęgniarz na bloku w szpitalu obserwowałem selekcję więźniów, przeprowadzoną przez dr. Mengele i lekarza obozowego Thilo, którzy przychodzili w towarzystwie SDG [*Sanitätsdienstgrad*] i w ten sposób wołali: „Alle Juden antreten”. Nie wszyscy mogli wstać, ale każdy wstawał, choć nogi nie mogły utrzymać, prężył się, jak mógł przed lekarzem, żeby pokazać, że jeszcze jest zdrow, żeby go nie skazano na gaz. Pamiętam selekcję w baraku, gdzie mieszkałem; był [tam] Żyd 10- czy 15-letni z Płońska lub Płocka. Rzucił się Thilowi do nóg i błagał go: „Herr Lagerarzt, ich bin so jung, ich will leben”. Thilo nie mógł sobie z nim dać rady, żeby go oderwać od nóg. Chłopiec rzucał się w akcie rozpacz, krzyczał: „Ja chcę żyć, jestem młody, darujcie mi życie”. On go odepchnął nogą i wyszedł. Specjalnie obserwowałem twarz lekarza, żeby zobaczyć, jakie wrażenie wywołała u niego rozpacz tego dziecka. Twarz bez żadnego wyrazu – żeby choć drgnęła, żeby okazał jakieś wzruszenie najmniejsze, [tego] nie można było zaobserwować. Dziecko to jednak zostało wtedy uratowane tylko dzięki naszej prośbie, ale nie u lekarza niemieckiego, tylko u takiego starszego SDG, który z Wehrmachtu przeszedł do SS, jakiś wiedeńczyk. Prosił, żeby go zostawił. Myśmy nie byli w stanie zapomnieć widoku tej

rozpaczy, która się dała tak strasznie odczuć, i za wszelką cenę chcieliśmy go uratować. Tym transportem nie poszedł, ale poszedł innym transportem w kilka tygodni potem, kiedy był rozkaz oczyszczenia baraku ze wszystkich Żydów.

Później obserwowałem wywóz Żydów; wtedy, w 1943 r., aryjczyków już nie wywożono do gazu. Z naszego szpitala wywożono Żydów do gazu. Rozmawiałem z nimi na kilka minut przed ich wywiezieniem. Wiedzieli, że idą na śmierć, i pragnieniem ich było tylko, żeby sobie pojeść i zapalić papierosa. Pamiętam również, jak przychodził jakiś psycholog niemiecki, niby uczony, który badał stan psychiczny więźniów tuż przed śmiercią. Rozmawiał z nimi, udawał wielkiego przyjaciela, że się im nic nie stanie, że będzie jeszcze nowa selekcja i połowa niewątpliwie będzie uratowana, a przy tym robił jakieś badania. O co mu chodziło, nie wiem, w każdym razie nawet w tym momencie, kiedy Żydzi wychodzili – zresztą nie stawiając oporu – do gazowania, SS-mani znęcali się nad nimi w niesamowity sposób, bijąc nawet już w samochodzie. Latem, wiosną i jesienią [Żydzi] byli wywożeni zupełnie nago, a zimą w koszulach. Była wówczas zarządzana *Blocksperr*e, ale ponieważ barak, z którego byli wyprowadzani, był tuż koło mojego, mogłem to zaobserwować. Byli koledzy, którzy mieszkali w tych barakach, skąd wywożono Żydów, i oni to później opowiadali.

Następnie u nas w szpitalu na bloku 15. byli chorzy [na choroby] skórne, byli również więźniowie, którzy przeszli sterylizację z użyciem promieni rentgenowskich. Widziałem tychże chorych, nawet z nimi rozmawiałem. Otóż po takiej sterylizacji przeważnie mieli niesamowite rany w okolicach sterylizowanych; te miejsca gniły, ludzie nie mogli chodzić, przeżywali niesamowite męczarnie. Tak że mówili sami: „Cieszyłbym się gdybym w tym tygodniu poszedł do gazu, bo nie mogę już wytrzymać”. Były wypadki, że szli na druty wysokiego napięcia i zabijali się, takie katusze przechodzili przez gnicie tych ran na skutek sterylizacji. Przeważnie też wszyscy z tych sterylizowanych szli do gazu.

Jeżeli chodzi o inne badania, które widziałem, to zdarzały się również badania przeprowadzane na mężczyznach w wieku 25–30 lat, [polegające na] wycinaniu im pewnych narządów płciowych i późniejszym badaniu, jaka nastąpi [u tych ludzi] reakcja. Nie będę o tym mówił, bo się na tym nie znam, nie jestem lekarzem, w każdym razie widziałem ich i z nimi rozmawiałem.

Tutaj oskarżony oświadczył, że nikt się nie skarżył na zły wikt, względnie brak wody czy czego innego. Kto mógł się skarżyć? Gdybym mógł się skarżyć u niego, to na pewno dzisiaj bym nie zeznawał.

Jeżeli chodzi o prace na terenie obozu, oskarżony mówił m.in., że były szalone trudności z powodu braku materiałów i innych przydziałów kontyngentowych na prace budowlane. Otóż prace na terenie obozu nie miały charakteru produktywnego, tam nie chodziło o budowanie czegoś, tylko o zatrudnienie więźniów, a przez to Niemcy nie szli na front. Baraki budowano, rozbierano, byle praca dłużej trwała, a oni nie szli na front i im się lepiej powodziło. Wodę można było znaleźć, bo cała Brzezinka była na bagnach i kiedy wykopano pięciometrowe doły, już znajdowano wodę. Najlepszym dowodem tego jest malaria, na którą chorowało bardzo dużo więźniów. Klimat był bardzo wilgotny.

Więcej nie mam nic do powiedzenia.

Przewodniczący: Co do systemu karnego: czy świadek został kiedy znieważony?

Świadek: Owszem, kilkakrotnie, m.in. raz, gdy przenosiłem przez bramę bochenek chleba, żeby sobie „zorganizować” ziemniaki, SS-man zapytał: „Po co?”, nie mogłem przecież odpowiedzieć, że chcę „zorganizować” ziemniaki. Dostałem 15 kijów, ja i moi koledzy. Drugi raz przechodziłem przez bramę. Mówiło się wtedy: „Häftling nr taki i taki”. Przechodziłem ja i czterech kolegów. Ja powiedziałem, bo mówiłem po niemiecku, „Häftling nr taki i taki und vier Männer”. SS-man wyskoczył i powiedział „und vier Hunde”, ja wówczas powtórzyłem „und vier Hunde”, bo nie wiedziałem, co mam zrobić, wtedy zaczął mnie bić.

Przewodniczący: W jaki sposób?

Świadek: Laską po plecach.

Przewodniczący: Bił nie ręką?

Świadek: Oni ręką prawie nigdy nie bili. Bił przez plecy.

Przewodniczący: Ile razy?

Świadek: 25, bo pięć kijów to nie było nic [ciężkiego].

Przewodniczący: Co świadek uważa za ciężkie bicie?

Świadek: 25–15 kijów wystarczało zupełnie.

Przewodniczący: Kto bił?

Świadek: To było wykonywane indywidualnie przez poszczególnych SS-manów, zależnie od humoru.

Przewodniczący: Kto wykonywał takie kary?

Świadek: Najczęściej sami SS-mani, a czasem kazali bić innym więźniom.

Przewodniczący: W jaki sposób?

Świadek: Na przykład ja miałem dostać 25 kijów, wołano innego więźnia i kazano [mu] mnie bić.

Przewodniczący: Czy to byli kapo?

Świadek: Przeważnie kapo.

Przewodniczący: Z kogo się oni rekrutowali?

Świadek: Kapo rekrutowali się z najgorszych elementów wśród więźniów, z przestępców skazanych na kilkanaście lat, wyzutyh ze wszelkich pojęć ludzkości.

Przewodniczący: Czy byli i innych narodowości?

Świadek: Owszem, kapo byli i Polacy, ale przeważnie byli w komandzie. Byli oni majstrami w pracy i traktowali więźniów po koleżeńsku, a kapo niefachowi byli gorsi.

Przewodniczący: Świadek wspominał o rzucaniu dzieci do ognia. Czy świadek słyszał o tym, czy bezpośrednio widział?

Świadek: Na własne uszy słyszałem płacz dzieci w odległości kilkunastu metrów.

Przewodniczący: Czy oskarżonemu wiadome są fakty rzucania dzieci żywcem do płomieni?

Oskarżony: Nie, nigdy.

Przewodniczący: Czy te fakty nie mogły mieć miejsca, czy oskarżonemu są tylko nieznane, niewiadome?

Oskarżony: Sądzę, że takie rzeczy nie mogły się przytrafić.

Przewodniczący: Czy świadek podtrzymuje dalej swoje zeznanie?

Świadek: Podtrzymuję. Nie widziałem na własne oczy, jak wrzucano [dzieci], ale w odległości kilkunastu metrów słyszałem [ich] płacz, szczekanie psów i nawoływanie SS-manów. Koledzy, którzy byli bliżej, twierdzili, że rzucano dzieci na stos.

Przewodniczący: Świadek wspominał w swoich zeznaniach o selekcji, o eksperymentach. Mówił o uszkodzeniu narządów płciowych. Jak tego dokonywano?

Świadek: Wycinano jądra.

Przewodniczący: Czy ta operacja wywoływała ujemne następstwa dla życia?

Świadek: Znam konkretny wypadek. Ów więzień jednak żyje. Następstwa śmierci nie było.

Przewodniczący: Cel operacji został uzyskany?

Świadek: Tak.

Przewodniczący: Czy to były liczne operacje?

Świadek: To były sporadyczne wypadki. Przeważnie były sterylizacje.

Przewodniczący: W jakim celu były podejmowane?

Świadek: Przypuszczam, że częściowo dla celów naukowych, częściowo – ponieważ dokonywano tego na Żydach – celem pozbawienia siły rozrodczej Żydów.

Przewodniczący: Czy świadek słyszał o stosunkach w obozie kobiecym?

Świadek: Słyszałem. Widziałem na własne oczy na samym początku przybycia do obozu, gdy łaznia kobieca nie była wykończona i kobiety przychodziły do nas, że mężczyźni musieli usługiwać do kąpieli. Kazano mężczyznom Polakom obcinać włosy na głowie, strzyć maszynką pod pachami i w innych miejscach. Później, kiedy wykończono łazienki na oddziale kobiecym, to kobiety do nas nie przychodziły.

Przewodniczący: Czy świadek widział oskarżonego?

Świadek: Widziałm na terenie obozu kiedyś w niedzielę. Przyjechał samochodem, stał w grupie SS-manów.

Przewodniczący: Czy świadek był obecny przy jakichś rękoczynach, przy znęcaniu się nad więźniami?

Świadek: W obozie mówiono o okrucieństwach i znęcaniu się Hößa. Gdy się pokazał na obozie, to wszyscy drżeli.

Przewodniczący: Ale czy świadek był obecny przy jakimś znęcaniu się?

Świadek: Ja byłem cały czas w Brzezince. Höß więcej operował na terenie [obozu] Oświęcim I. U nas pokazywał się rzadziej. W naszym obozie konkretnych wypadków nie widziałem, tylko słyszałem z opowiadań, że w Oświęcimiu I przychodził do baraków z Aumeierem i Palitzschem, kierownikiem raportów, i robili różne egzekucje na terenie bloku 12. i bunkrów.

Przewodniczący: Czy bezpośrednio świadek widział, żeby kogoś zastrzelił lub kopał jakiegoś więźnia?

Świadek: Mówiono o tym, że na terenie bloku 11. w Oświęcimiu Aumeier i Palitzsch dla zabawy czy w innym celu rozstrzeliwali ludzi. Byli tam Żydzi. Po obozie chodziły pogłoski, że czynili to, gdy byli pijani. Aumeier był do tego stopnia zboczeńcem sadystą, że czuł satysfakcję, gdy uderzył więźnia, tak, że ten się przewrócił. To sprawiało mu zadowolenie. Jeśliby się więzień nie przewrócił, to Aumeier biłby go nadal. Wszyscy o tym wiedzieli i po uderzeniu kładli się na ziemię, czy to bolało, czy nie, żeby zadośćuczynić jego zbrodniczym instynktom.

Przewodniczący: Jakie były warunki życiowe w obozie? Czy można było coś nabyć?

Świadek: Warunki były ciężkie. Można było „organizować”. Kantyna w obozie istniała, ale można w niej było dostać tylko wodę i od czasu do czasu były jakieś ślimaki w beczkach i wstrętne sałata. Ja osobiście nigdy tego nie jadłem. Nabywać mógł każdy, kto miał pieniądze otrzymane z domu. Miesięcznie można było dostać do 40 marek. Pieniądze wypłacano w bonach obozowych. Nie wypłacano wszystkiego, zatrzymywano 20 czy 30 marek na pokrycie jakichś kosztów. Ja osobiście dostałem 40 marek. Wypłacono mi 25. Chleba kupić nie było można. Można było dostać papierosy, dwa–trzy na dzień. Początkowo nie było ograniczeń w liczbie papierosów, ale nikt nie miał pieniędzy.

Przewodniczący: Świadek wspominał o „organizacji”. Co rozumie przez „organizację”?

Świadek: Jest to kradzież z magazynów SS. Naturalnie gdyby SS-mani dowiedzieli się, że coś „zorganizowano”, to więźnia czekała pewna śmierć. Człowiek ryzykował życiem. Na miejscu zabijano, względnie wsadzano do bunkrów. Niełatwo było „organizować”. Ale w magazynach żywnościowych pracowali nasi koledzy więźniowie, którzy przy wydawaniu prowiantów dla poszczególnych obozów zawsze rzucili parę czy paręnaście chlebów więcej. Sam nie „organizowałem”, ale moi koledzy „organizowali” w rzeźni kiełbasę albo innego wieprza, wsadzali do beczki, w której mieli farbę, przylutowywali blaszane denka, wypełniając jeszcze przed tym beczkę farbą, i tak wywozili z rzeźni.

Przewodniczący: Świadek widział selekcję z bloków krematoriów. Jak to się odbywało?

Świadek: Przychodził na blok lekarz Mengele, czasem w asyście *Rapportführera* i SDG, i mówił: „Wszyscy Żydzi wystąpić i rozebrać się do naga”. Oglądał. Czasem były wypadki, że silnie zbudowanych zostawiał, a czasem machnął ręką i na tym się kończyło. Obserwowałem kiedyś moment selekcji Żydów przybyłych do Oświęcimia w jakimś transporcie. Rampa, na której odbywała się selekcja, była tuż za drutami naszego odcinka. Mengele od czasu do czasu machnął ręką: lewo, prawo, i to wystarczało. Silnych, względnie przy dużym nawale, kiedy komory gazowe nie nadążały, kierowano ludzi do kopalni w Jaworznie i po dwóch tygodniach wracali [jako] mużułmanie do komory.

Przewodniczący: Co świadek rozumie przez to [określenie]: mużułmanie?

Świadek: Wycieńczonych fizycznie, [którzy] stracili na wadze, [opadli z] sił.

Przewodniczący: A psychicznie?

Świadek: Mużułman nie wykazywał żadnej odporności na zjawiska go otaczające, [był] obojętny na śmierć bardziej niż normalny człowiek, życie nie miało dla niego już tej wartości jak dla normalnie żyjącego więźnia.

Przewodniczący: To znaczy następowało u nich całkowite zubożenie?

Świadek: Tak jest.

Przewodniczący: Czy co do bloku 11. świadek ma jakieś obserwacje?

Świadek: Blok 11. był nie w Brzezince, tylko w Oświęcimiu, tak że osobiście bloku 11. nie obserwowałem. Natomiast znam blok SK na terenie Brzezinki, który nie istniał na terenie Oświęcimia polskiego. Otóż z początku na terenie Brzezinki SK znajdowało się za wysokim murem i drutem kolczastym, tak że więźniowie...

Przewodniczący: (przerywa) SK to znaczy kompania karna [*Strafkompanie*]?

Świadek: Tak jest. Więźniowie ci nie wychodzili poza obręb swojego podwórza na terenie obozu, nosili na ubraniu czerwone koła, które były oznaką SK. Pracowali w najgorszych warunkach przy kopaniu rowów kanalizacyjnych, przy regulacji Wisły, względnie przy kopaniu rowów odwadniających obóz. W SK [funkcję] kapo [pełnili] najwięksi zbrodniarze i najwięksi sadyści.

Przewodniczący: Czy to byli Niemcy, czy i Polacy?

Świadek: Tylko Niemcy. Opowiadał mi kolega, niejaki Antoni Kępa, który był tam w SK, że kapo niemieccy wraz z SS-manami urządzali sobie popisy sadystyczne, np. robili zakłady, który z nich potrafi za jednym uderzeniem zabić więźnia.

Przewodniczący: Jak się to dokonywało?

Świadek: Na komandzie pracowali więźniowie. Stało dwóch kapo, jeden z nich powiada: „Ja zabiję za jednym uderzeniem”, drugi mówi: „Nie zabijesz”, „To zobaczymy”. Uderzał więźnia jakimś swoim zbirowskim sposobem i ten naturalnie padał. Albo np. do beczki odwróconej do góry dnem, to znaczy pod beczkę, pakowano więźnia. Były miejsca, gdzie wydobywano piasek z ziemi, tam było kilka pięter głębokości, najniższe piętro było już zupełnie w wodzie. Oni z najwyższego piętra rzucali więźnia i topili w tym bajorku na dole. Widziałem na własne oczy, jak na bloku 20., kwarantannowym, zabito jednego z moich kolegów w ten sposób, że Niemiec położył mu laskę na szyi i stanął nogami na lasce, przygniatając szyję do ziemi, tak że więzień się dusił i zginął.

Przewodniczący: To robiono, jak świadek powiada, dla rozweselenia?

Świadek: Tak. Był np. na terenie obozu kapo, nazywaliśmy go „Krwawy Alojz”. Miał manię duszenia. Osobiście tego nie widziałem, lecz na bloku 9. opowiadał mi jeden z kolegów, że „Krwawy Alojz” wstawał w nocy i zaczynał się koło beczki – bo nie było ustępu, tylko stała

beczka w baraku, do której się w nocy więźniowie załatwiali – i gdy ktoś załatwił swoją potrzebę, to on go z tyłu łapał i dusił ręką. Na drugi dzień dostawał od blokowego cztery czy pięć porcji chleba, bo chleb dla tych zaduszonych był już wyfasowany, tak że oni potem tym chlebem się dzielili. Naturalnie ci wszyscy najwięksi bandyci cieszyli się największym zaufaniem i mirem u komendanta i jemu podwładnych.

Przewodniczący: Czy ze strony władz zwierzchnich, SS-manów padały słowa zachęty w stosunku do tych kapo, gdy to robili?

Świadek: Oni żyli ze sobą po koleżeńsku.

Przewodniczący: Czy kapo należeli już do hierarchii obozowej?

Świadek: Tak jest, należeli do hierarchii, do promienności obozowych.

Przewodniczący: Co znaczy to słowo?

Świadek: Coś lepszego na terenie obozu. Kapo korzystali z tych przywilejów, że mieszkali w osobnych pokojach. Na przykład barak był typu końskiego, okna były w dachu i w środku długi piec, a w jednym i drugim skrzydle były specjalne pokoiki na magazynki pod obrok dla koni. W tych pokojach mieszkali kapo, tak że spali tylko po kilku i mieli eleganckie urządzenia. SS-mani przychodzili do nich, razem popijali wódkę. Tak więc oni z SS-manami dobrze żyli.

Przewodniczący: Czy ci kapo mogli oddziaływać na los więźniów?

Świadek: Oczywiście.

Przewodniczący: Jak się przedstawiała praca i życie świadka w obozie, kiedy tam był?

Świadek: Początkowo pracowałem w kanalizacji przez kilka tygodni, później w komandzie *Planierung*, a kiedy zachorowałem i poszedłem do szpitala, zostałem już jako pielęgniarz w szpitalu do samego końca, do 1945 r.

Przewodniczący: Wspomniał świadek nazwisko jednego z lekarzy, Zengtellera. Czy to był człowiek, do którego odnosiliście się z zaufaniem?

Świadek: To był człowiek, którego się baliśmy. On sam był więźniem, ale miał niesamowite podejście do więźniów, szorstkie i bezwzględne w wielu wypadkach, jakkolwiek były momenty,

że działał w dobrej wierze. Ale jego stosunek do chorych i do jemu podwładnych, jako naczelnemu lekarzowi szpitala, był tak szorstki i tak niekoleżeński, że myśmy się go raczej bali.

Przewodniczący: Świadek był pielęgniarzem, a więc miał z nim styczność?

Świadek: Tak jest. To był tego rodzaju człowiek, że jeżeli ktoś mu się przeciwstawił, [to] znaczy nie bał się go, to zyskiwał jego sympatię.

Przewodniczący: Jaki był stosunek takiego lekarza do lekarzy niemieckich?

Świadek: Lekarze niemieccy byli organem kontrolnym, to znaczy nie interesowali się zbytnio samym leczeniem, a tylko mieli kontrolę nad tym, jak leczą lekarze polscy. Trudno powiedzieć o lekarzach niemieckich, że to byli lekarze. Przypuszczam, że np. taki lekarz u nas na terenie Brzezinki nie był w ogóle lekarzem, bo nie miał pojęcia o leczeniu, widać było, że się na niczym nie zna. Osobiście nie będę o tym decydował, czy on był lekarzem, bo sam się nie znam na leczeniu, ale słyszałem z ust lekarzy, że on nie miał pojęcia o niczym.

Przewodniczący: Lekarze niemieccy zasadniczo nie interesowali się zdrowiem więźniów, tylko biurowością?

Świadek: Tak, biurowością i całym tokiem pracy na terenie szpitala.

Przewodniczący: Czy rewir był zaopatrzony w środki lekarskie?

Świadek: Zupełnie nie. Lekarstwa, którymi leczyliśmy chorych, zdobywaliśmy najczęściej z „Kanady”, która była tuż koło nas. To był obóz, w którym znajdowały się wszystkie rzeczy odebrane przybyłym do obozu. Tam były magazynowane, segregowane, częściowo wywożone do Niemiec.

Przewodniczący: Czy to była nazwa urzędowa, czy przyjęta w obozie?

Świadek: Półurzędowa. Tak mówiliśmy – że to „Kanada”, bo tam wszystko było. Ta nazwa przyjęła się wśród więźniów i wśród SS-manów.

Przewodniczący: Określenie bogactwa?

Świadek: Ponieważ myśmy mieli bezpośredni kontakt z „Kanadą”, bo tylko druty nas dzieliły, otrzymywaliśmy lekarstwa od kolegów, którzy tam pracowali. Ja byłem na bloku tyfusowym.

W momencie kiedy mieliśmy odpowiednią ilość lekarstw, zdobytych tą drogą, śmiertelność się wyraźnie zmniejszyła.

Przewodniczący: Czy był określony czas leczenia?

Świadek: Był jakiś czas, ponad który nie wolno było trzymać więźnia w szpitalu; trzy–cztery tygodnie. Jeżeli chciało się trzymać chorego dłużej, to trzeba było go poddać ponownej kontroli lekarza niemieckiego. Jeżeli lekarz niemiecki stwierdził, że chory nadaje się jeszcze do leczenia, to można było trzymać go jeszcze w szpitalu.

Przewodniczący: A co robiono z tymi, których czas choroby się przedłużał, a lekarz nie zezwolił na dłuższy pobyt w szpitalu?

Świadek: Jeżeli to był aryjczyk, to szedł do obozu roboczego i chodził na komando do pracy.

Przewodniczący: Czy poza rewirem był obóz rekonwalescentów *Schonungslager*?

Świadek: Właściwie nie, bo u nas był barak *Schonung* już na terenie szpitala.

Przewodniczący: Czy istotnie była różnica w traktowaniu [rekonwalescenta], [a jeśli tak, to] na czym ona polegała?

Świadek: Na tym polegała, że [rekonwalescent] nie szedł do pracy, względnie wykonywał jakąś lżejszą pracę na terenie szpitala.

Przewodniczący: Tylko tyle? Ale specjalnych ulg nie było?

Świadek: Nie, jedzenie było to samo.

Przewodniczący: A co do chorych, czyli byli specjalnie traktowani jeśli chodzi o jedzenie?

Świadek: Był czas, że w baraku tyfusowym – istniały trzy [takie] baraki – było ok. 700 chorych. Na tych 700 chorych dostawaliśmy 60 porcji dietowych, to znaczy na początku połowę, potem jedną czwartą białego chleba, 30–40 deka, i na obiad zamiast zupy, którą otrzymywali wszyscy pracujący, grysik na wodzie.

Przewodniczący: Warunki sanitarne były lepsze niż na blokach?

Świadek: Były lepsze, ale zależały od tego, jak sami sobie urządziliśmy. Nas wpakowano do zupełnie surowego baraku, niepomalowanego i myśmy własnym sposobem „organizowali”

farbę u malarzy, własnym sposobem malowali i doprowadzili do stanu upodabniającego do szpitala.

Przewodniczący: Jak wyglądał dzień pracy więźnia?

Świadek: Wstawaliśmy o 4.00 rano i czekaliśmy na apel do świtu, zależnie od pory roku. Apel był o świcie.

Przewodniczący: Jak długo trwał?

Świadek: To zależy jak, kiedy. Jeżeli się wszystko zgadzało – jak myśmy mówili, „klapowało” – to godzinę, dwie, jeżeli nie „klapowało”, nawet do sześciu godzin i dłużej.

Przewodniczący: A jeśli padał deszcz?

Świadek: Nie było żadnej różnicy, staliśmy czy śnieg, czy deszcz. Kiedyś w deszcz staliśmy do godz. 1.00 w nocy, o 1.00 dostaliśmy obiad i zimną kolację naraz.

Przewodniczący: Dlaczego tak długo?

Świadek: Bo nie zgadzał się stan w obozie.

Przewodniczący: Kompanii?

Świadek: Nie, w obozie w ogóle, ktoś uciekł albo z wyczerpania mógł zostać w komandzie pracy poza bramą, w obrębie dużej *Postenkette*.

Przewodniczący: Co to znaczy?

Świadek: To był pas do nawet kilometra poza drutami obozu na terenie, na którym pracowali więźniowie cały dzień. Mała *Postenkette* to były wieżyczki strażnicze, ustawione wzdłuż obozu, gdzie nas wpuszczano na noc.

Przewodniczący: Więc gdy więzień się znalazł w obrębie dużej *Postenkette*, to był na terenie obozu?

Świadek: Nie badali go, czy miał zamiar ucieczki, czy też został z powodu choroby, uważano go jako podejrzanego, że chciał uciec i rozstrzeliwano.

Przewodniczący: Czy to było jakieś zarządzenie władz obozowych, czy wartownik strzelał?

Świadek: Z całą pewnością zarządził Höß.

Przewodniczący: Więc prawem wartownika było zastrzelić? Czy był pas neutralny, gdzie więzień mógł się obracać swobodnie?

Świadek: Tak, był pas pracy, gdzie się pracowało, a jeżeli się szło za ten pas, to z psami.

Przewodniczący: Czy wolno się było obracać swobodnie na terenie obozu?

Świadek: W obrębie drutów można się było poruszać swobodnie zależnie, w jakiej porze. Do apelu nas nie było, po apelu była jedna, dwie kolejki do wydawania porcji, potem był gong i *Blocksperr*e, wtedy nie wolno się było poruszać. Jeżeli ktoś wyszedł w obręb dużej *Postenkette* i SS-man go spotkał, zapytał, co tu robi i on się nie wytłumaczył, że jest na komandzie, że idzie po narzędzie pracy czy coś takiego, to albo go bito, albo odprowadzano.

Przewodniczący: Świadek mówił o otoczeniu obozu drutami – czy w obrębie drutów można się było poruszać swobodnie, bez obawy o życie?

Świadek: Wzdłuż drutów biegł pas neutralny, były od czasu do czasu tabliczki *Lebensgefahr* czy coś w tym rodzaju, ale zasadniczo tych tabliczek nie było, tylko więźniowie sami wiedzieli, że druty są [pod napięciem] i że nie należy się do nich zbliżać.

Przewodniczący: Druty były pod wysokim napięciem?

Świadek: Tak, jeżeli się człowiek dotknął, to śmierć.

Przewodniczący: A jeżeli się zbliżył zbyt blisko do drutów?

Świadek: Sam widziałem taki wypadek, że wieczorem jeden z kolegów zbliżył się do drutów, [na] jakieś 3 m, wartownik z wieżyczki strzelił. Tego kolegi nie trafił, a trafił w barak, gdzie leżał chory, trafił chorego na łóżku i ten umarł po 4 godz.

Przewodniczący: Czy więźniowie byli uprzedzeni o tym, że mają się nie zbliżać [do drutów]?

Świadek: Specjalnego zarządzenia nie było.

Przewodniczący: Więc każdy więzień był mniej więcej świadomy tego, że w okolicy drutów nie można się zbliżyć z uwagi na wysokie napięcie?

Świadek: Tak. Przy drutach zewnętrznych był jeszcze wykopany rów i za rów nie wolno było przechodzić.

Przewodniczący: A jeżeli ktoś przeszedł?

Świadek: To strzelano.

Przewodniczący: Czy były wypadki, że więźniowie się zbliżali?

Świadek: Były wypadki, nawet dosyć częste. Z początku, gdy przyjechałem do obozu, to kiedy wstawaliśmy rano, widziało się po kilka trupów na drutach.

Przewodniczący: Czy to była nieświadomość?

Świadek: Nie, to była świadomość.

Przewodniczący: Ludzie wybierali śmierć?

Świadek: Tak, świadomie szli na druty.

Sędzia: Czy świadkowi wiadomo o dzieciach z Zamojszczyzny?

Świadek: Wiadomo o tyle, że w baraku, w którym byłem, było dwóch czy trzech chłopców z Zamojszczyzny. Ukrył [ich] tam jeden z blokowych i ci ocaleli. To się działo jeszcze przed moim przybyciem do obozu. Chłopców tych zabrano do Oświęcimia i jeden z SDG ich zabił zastrzykiem.

Sędzia: Czy była akcja tępienia dzieci z Zamojszczyzny?

Świadek: Z tych dzieci zostało – jak wspomniałem – tylko troje.

Sędzia: A ile przybyło?

Świadek: 60.

Sędzia: A co się z nimi stało?

Świadek: Zostały zabite zastrzykiem.

Sędzia: Na którym bloku?

Świadek: Który to był blok, nie wiem. To było w Oświęcimiu.

Prokurator Cyprian: Co świadek wie o buncie w *Sonderkommandzie*?

Świadek: We wrześniu 1944 r. w krematorium III przebywali Żydzi, którzy pracowali w *Sonderkommandzie*. Przypuszczali, że mogą być w każdej chwili zagazowani, ponieważ odbywało się to systematycznie co trzy miesiące z tymi, którzy pracowali przy paleniu trupów. Toteż kiedy kazano im rozebrać się do naga, przypuszczali, że chcą zabrać ich do komór gazowych, nie rozebrali się i ubrani wpadli do krematorium, wsadzili żywcem do pieca SS-mana i uciekli przez druty z krematorium II do I i stamtąd uciekli. Jaki był los tych więźniów – nie wiem. Słyszałem, że część ich się uratowała, a część z powrotem przywieziono.

Prokurator Cyprian: Co świadek może powiedzieć o stehbunkrze?

Świadek: Stehbunkier był na bloku 2., w którym zamykano więźniów za błahe przewinienia, np. mojego kolegę Kelera za to, że nie zdjął swetra.

Prokurator Cyprian: Jak wyglądał stehbunkier?

Świadek: Stehbunkry były dwa: jeden [na] 60–80 cm wysokości, drugi był wybudowany w ten sposób, że stało się w nim pochyło. Do takiego bunkra pakowano dwóch, trzech ludzi i były wypadki, że z braku powietrza obgryzali sobie palce.

Prokurator Cyprian: Z powodu szafu? Czy tam było tak ciasno?

Świadek: W takiej klateczce maleńkiej na pewno było ciasno.

Prokurator Cyprian: Czy to było w wodzie?

Świadek: Nie, tam wchodziło się jak do budki króliczej i tak ich zamykano.

Prokurator Cyprian: I tam się stało?

Świadek: Stało się całą noc i w dzień szło się do pracy. Znam konkretny wypadek z moim kolegą, który stał całą noc. Ten kolega wytrzymał tylko dlatego, że w dzień do pracy nie

szedł, bo był zatrudniony w szpitalu, i cały dzień spał, a koledzy na niego chuchali i dmuchali, aby mógł noc przetrzymać.

Prokurator Cyprian: Co to był *Familienlager*?

Świadek: Na odcinku B był obóz czeskich Żydów przywiezionych wiosną 1944 czy w 1943 r. Początkowo przyjechało tych Żydów kilka tysięcy i pozwolono im nosić włosy, w ogóle razem mieszkać z rodzinami, warunki mieli znośne jak na obóz. Było tak jakiś czas. Potem przyjechał drugi transport tych Żydów. Pozwolono im nawet otrzymywać paczki i pisywać listy, [pod warunkiem] że będą [w nich pisać], że im jest dobrze i świetnie się czują, żeby tym samym skusić innych do przyjeżdżania bez oporu. Jak chodziły słuchy na terenie obozu, chodziło Niemcom o to, aby do Theresienstadt zabrać wszystkich bogatych Żydów i tam ich zniszczyć.

Prokurator Cyprian: Co się stało z tym obozem?

Świadek: Został zlikwidowany i zagazowany. Tak mówił lekarz, który dostał się na teren naszego szpitala B II.

Prokurator Cyprian: Czy świadkowi wiadomo o eksperymentach z bliźniakami?

Świadek: Owszem, ponieważ na naszym terenie było kilkunastu bliźniaków, m.in. dzieci 4–12 lat i starsze. I dr Mengele trzymał je jak króliki, specjalnie się nimi opiekował, dowożono im mleko, a czasami wyjeżdżały do Oświęcimia, do obozu kobiet. Specjalnie je fotografowano, mierzono [im] głowy, czaszki i robiono badania antropologiczne.

Prokurator Cyprian: Co się stało z tymi dziećmi?

Świadek: Te dzieci się ostały. Po powrocie z Oświęcimia, na drugi, trzeci dzień, w Krakowie na rynku widziałem wózek, na którym siedziały dwie pary takich bliźniąt karłów, i ciągnął [go] któryś z bliźniaków.

Prokurator Cyprian: Świadek uciekł z obozu?

Świadek: Uciekłem przed samą ewakuacją. Gdybym nie uciekł, zostałbym rozstrzelany na terenie Oświęcimia. Był u nas Niemiec, Hans Damstedt. Bał się, że Polacy razem z Rosjanami rozpoczną akcję przeciwko Niemcom. Dowiedział się, że na terenie naszego baraku jest przechowywana broń na wypadek gdyby Niemcy mieli nas brać – mieliśmy się bronić,

wszystko jedno jakimi środkami, byle nie dać się wziąć żywcem. Była niedziela, o godz. 3.00 odjechali SS-mani. Zostaliśmy bez załogi. Wobec tego z czterema kolegami i dwiema koleżankami uciekłem z obozu. Potem załoga przyjechała z powrotem i ów Niemiec powiedział, że Polacy i Rosjanie mają broń. Na skutek tego Niemcy wpadli na blok 13., gdzie byłem, znaleźli pistolet czy karabin, wyprowadzili wszystkich z bloku i rozstrzelali. Był tam Andreas, Rosjanin, jeniec wojenny, rozstrzelali go zaraz za kuchnią.

Adwokat Ostaszewski: Świadek wspomniał o sterylizacji i wycinaniu narządów płciowych. Którzy lekarze niemieccy dokonywali tych operacji? Czy ci, którzy przyjechali z Berlina?

Świadek: Zdaje się, że nie. Te operacje były dokonywane na oddziale kobiecym, gdzie był czynny rentgen.

Adwokat Ostaszewski: Czy znane jest świadkowi nazwisko prof. Glaubicke?

Świadek: Nazwisko to słyszałem. Rentgen był pod opieką dr. Schumanna.

Adwokat Ostaszewski: To robili więc specjaliści spoza obozu?

Świadek: Tak.

Adwokat Umbreit: Świadek wspomniał, że raz w niedzielę oskarżony przyjechał z jakąś świtą do Brzezinki. Co świadek zauważył w zachowaniu oskarżonego?

Świadek: To, co wolno mi było widzieć, bo nie wszystko wolno było widzieć. Zaobserwowałem u niego dumną, pruską postawę i zadowoloną minę. Wtedy jego podwładni SS-mani wykonywali różne czynności na terenie obozu w sposób bardzo gorliwy, to znaczy nie opuszczając żadnego bicia. Jak mogli, tak się znęcali. Przypuszczać mogę, że oskarżony powinien to widzieć, bo nie zamykał chyba oczu.

Adwokat Ostaszewski: Jaka odległość dzieliła Hößa od tych bitych więźniów?

Świadek: Od 50 do 200, 300 m. Więźniowie byli ustawieni przed barakami rzędem, od baraku 1. po 32.

Adwokat Ostaszewski: Mogą być kwestie różnic psychologicznych w określaniu odległości. Może świadek powie, jaka jest długość tej sali?



Świadek: 20 m.

Adwokat Ostaszewski: To znaczy, [że] Höß był trzykrotnie dalej.

Świadek: Mogło i nie być trzykrotnie dalej. Blok stał obok kuchni. Zresztą oskarżony chodził.

Przewodniczący: Więcej pytań nie ma, świadek jest wolny. Zarządzam kilkuminutową przerwę.